

HELENA ŚWIDA-SZACIŁOWSKA

ur. 1928; Warszawa



Miejsce i czas wydarzeń	Włodawa, Lublin, PRL
Słowa kluczowe	projekt Lublin. Opowieść o mieście, stan wojenny, ośrodek dla internowanych we Włodawie, ośrodek dla internowanych w Lublinie

Pobyt syna w internowaniu podczas stanu wojennego

[Pierwszy kontakt z synem uzyskałam] 16 stycznia [1982 r.] dopiero. Dostałam przepustkę i pojechałam do niego na pierwsze widzenie. Tłumy ludzi pod tą bramą. Ja pojechałam tam rano, o dwunastej wylądowałam we Włodawie i o siódmej wieczór dopiero miałam widzenie, więc tam pod tą bramą już taka byłam zeszytniała, te siedem godzin tak stałam z paczką na rękę i byłam w ostatniej grupie, która weszła na widzenie. Tak że przeczekałam masę [czasu]. [Kobiety] weszły, wyszły, opowiadały co jest. I w dobrej formie go zastałam, bardzo dobrej, nawet nie przypuszczałam, że w takiej będzie, w dobrym humorze. Powiedziano mi wtedy, że się świetnie trzyma – tam koledzy mówili – więc ja zdałam relację, co tu słyshać na Królewskiej. Tam dokładnie zdemolowali Zarząd Regionu, nawet rozbijali doniczki z kwiatami, szturmowali ich tam, przechodzili tylko z jednego pokoju do drugiego, barykadowali się ci, co mieli dyżury, [ale] w końcu ich wyprowadzili w kajdankach stamtąd. Na oknach tego budynku były [później] nalepki takie: „Wrócimy”, więc prędko im przekazałam tam we Włodawie, że jest: „Wrócimy”. Oni się trzymali doskonale wszyscy, z wyjątkiem tych wszystkich robotników niestety. Robotnicy tacy bardzo bojowi, a tam załamali się ludzie, bo ktoś, [kto] nie miał zainteresowań jakichś, książek, czytania, to tam leżeć można [tylko było], patrzeć w sufit czy grać w ping-ponga, czy grać w karty, no ile [można]? Oni się załamali najszybciej. A wszyscy właśnie tacy jak profesor [Zygmunt] Łupina, ten historyk znany, czy Andrzej Józwiakowski, czy Stefan, zajęli się czymś – czytali, wykłady sobie tam robili, pogadanki. Jakoś inaczej to znieśli.

Wtedy to było straszne, nie mogli rozładować tego, bo ze wszystkich miejscowości zjechali ludzie – z Krasnegostawu, z Zamościa, z Siedlec, różni tam ludzie siedzieli przecież, tłum [odwiedzających] był i po prostu oni nie mogli [sobie] poradzić. Ja siedziałam z synem na korytarzu i rozmawiałam z nim. Tłok okropny, jedni drugim na głowach. Potem rozładowali to – że Zamość będzie miał widzenia wtedy, Lublin

wtedy, a Kraśnik kiedy indziej, żeby to nie było jednej soboty. Siedzieliśmy w takim korytarzu przy stoliku, rozmawiało się, siedzieliśmy blisko, można było sobie wszystko powiedzieć, bo na przykład na następnym widzeniu to już byłam oddzielona od syna takim stolikiem, nie było tam żadnych krat, tylko przy stoliku – oni jednak byli nie jako więźniowie, tylko jako właściwie więźniowie wojenni. Stan wojenny, [więc] byli więźniami wojennymi. Więc siedzieliśmy oddaleni tak, następne widzenie przez stół, coraz mniejszy był kontakt. Ale też jakoś żeśmy się trzymali za ręce i potrafił tam coś przekazać, jakieś listy czy coś, [strażnicy] udawali, że nie widzą.

Paczki były trzykilogramowe, czasem tam trzypół-, czterokilogramową można było przemyścić. Tam się ktoś kłócił: „Proszę pana, ale poprzednim razem nie miałam paczki” – [strażnik] machnął ręką. A najlepszy był pierwszy wieczór – wtedy, kiedy był tak straszny tłok. Ja w końcu wyszłam z tego widzenia, późno już, wieczór jest – godzina [milicyjna]. Dużo nas wyszło. Co teraz? Idziemy, tam były zakłady metalowe, gdzie więźniowie kryminalni, którzy byli nad naszymi, chodzili do pracy i tamtędy nas jakoś przepuszczono przez tą bramę do dworca. Na dworcu pociąg stoi, biegniemy. A pociąg już dawno miał odejść. Kolejarze krzyczą: „Na was czekamy. Czekamy z odejściem pociągu na was wszystkich” – wiedzieli, taka była wtedy solidarność niesamowita. Te kobiety, które odchodzą od więźniów, od synów... Przyjeżdżamy do Chełma, w Chełmie przesiadka i tak mówimy: „Jak dojedziemy do Lublina, to już grubo po godzinie jedenastej, po godzinie [milicyjnej]”. [Godzina milicyjna] była od dziesiątej. Przyjechaliśmy do Lublina, każda gdzieś tam [poszła] i ja idę sama przez miasto, myślę: „Ciekawe na kogo się natknę teraz”. Puściuteńko na ulicach, a oni łapali ludzi od razu jak ktoś szedł – z psem wyszedł pan na podwórze i złapali go od razu. Więc ja tak idę, szłam aleją Piłsudskiego, i widzę, że z boku z Narutowicza wychodzi patrol. A patrole były tak: zielone mundury to było wojsko, a takie niebieskie mundury to było ZOMO z pałami. Oni: „O, tą panią to musimy aresztować”. A ja mówię: „A ja właśnie panów szukam, żeby mnie ktoś odprowadził do domu”. „A skąd pani jedzie?”. Ja mówię: „Z Włodawy”. „A u kogo pani tam była?”. Mówię: „U syna”. „Syn siedzi?”. „Siedzi”. „Cholera – zaczynają kłąć na stan wojenny. – Dobrze. To my panią odprowadzimy”. Wypytują jak tam jest, czy mają ciężkie warunki, to wszystko im musiałam opowiedzieć. Wojsko to było na szczęście. Mówią: „Ma pani szczęście, że pani na ZOMO nie trafiła, tylko na nas, bo ZOMO by tak z panią nie rozmawiało i zaprowadziłby panią tam, gdzie pani nie chce”. Odprowadzili mnie tutaj do rogu Skłodowskiej i Lipowej, mówią: „Nikogo nie ma, pusto jest, może pani iść do domu”. Moi sąsiedzi czekali w napięciu do mojego powrotu, więc musiałam do nich zadzwonić. Czekają dlaczego ja nie wracam, więc musiałam wszystko powiedzieć jak jest. Sąsiadów mam fajnych.

Tu w Lublinie jak ich przewieźli, to już dla mnie było wygodniej, bo miałam tu blisko. [To było] na Południowej, to jest boczna Zemborzyckiej. Rozładowywali Włodawę, bo mieli po prostu za mało miejsca dla kryminalnych, więc rozładowali ich – część wywieźli do Załęża, to jest przedmieście Rzeszowa, a część właśnie tu. Na szczęście

Stefan znalazł się tutaj. No, warunki mieli zupełnie inne, bo tu zrobili pokazówkę dla Międzynarodowego Czerwonego Krzyża, dla episkopatu, więc tu cele mieli otwarte cały dzień. We Włodawie – broń Boże – z celi do celi nie można było wyjrzeć. A tutaj mieli te cele otwarte cały dzień, fontanna, kąpali się, pluskali w tej fontannie, jedzenie o wiele lepsze, dwa widzenia w miesiącu, nie jedno, jak we Włodawie, tak że były tu lepsze warunki. Stefan mówi, że lepiej czuł się we Włodawie psychicznie dlatego, że tam jednoznacznie było „jestem w więzieniu”, a tu niby wolność, swoboda, chodzenie, ale za murami, w Lublinie, ale nie w domu. Tak że psychicznie właściwie – mówił – czuł się tu gorzej.

[Syn] był internowany siedem miesięcy. Po siedmiu miesiącach dostał przepustkę, potem drugi raz przepustkę, na drugie dwa tygodnie, a potem miał jechać z powrotem – do Kwidzyna już wtedy, bo to już wysłali z kolei stąd do Kwidzyna. I do Kwidzyna nie dojechał, bo dostał zakrzepu. Ładował plecak na wyjazd już do Kwidzyna, już miał jechać, więc tam nabrał czekolady, nie czekolady, dla kolegów, dla tych, co tam siedzą i pełny [miał] ten plecak. W chwili, kiedy zakładał sobie ten plecak, nagle zasłabł i cała ręka zsiniała. Na szczęście kolega wtedy przyleciał, mówi: „Słuchaj, natychmiast jedziemy do lekarza”. Do jednego pojechali, odesłał do drugiego, drugi odesłał jeszcze do trzeciego i ten trzeci położył go w szpitalu, bo to był zakrzep lewej żyły podobojczykowej, tak że nie wrócił już do tego [obozu internowania]. Jak leżał w szpitalu, to dostał zwolnienie lekarskie i już we wrześniu dostał wiadomość, że jest zwolniony.

Data i miejsce nagrania	2005-10-30, Lublin
Rozmawiał/a	Wioletta Wejman
Redakcja	Piotr Krotofil
Prawa	Copyright © Ośrodek "Brama Grodzka - Teatr NN"